

Wrzosowe źródółko

Żył niegdyś w Rejhoticach na Morawach leśniczy, który łowił w tutejszych lasach jelenie. Pewnego słonecznego dnia upolował on, niedaleko Červenohorského Sedla, blisko źródółka otoczonego wrzosem, przepięknego jelenia. Przyciągnął jelenia bliżej wody, żeby go wypatroszyć. Może przez przypadek, a może z woli Bożej, do otwartej krwawiącej rany zwierzęcia zaczął się powoli sączyć srebrzysty strumień wody. Ale co to? Zanim się leśniczy opamiętał, jeleni wyskoczył i jak strzała pobiegł stokiem w dół. Oslupiały myśliwy spoglądał za uciekającym zwierzęciem. Sam nie wiedział czy zobaczył cud, czy to źródłana woda zagoiła ciężkie rany jelenia i uzdrowiła go w ciągu kilku chwil?

Dopiero kilka lat później doznał oświecenia. Pracował wtedy jako leśniczy w Brandysie nad Łabą w Czechach i nagle zachorował na jakąś zaraźliwą chorobę, która wkrótce zaatakowała też resztę jego rodziny. Nieszczęśnik codziennie wzywał Boga i prosił go o pomoc, lecz daremnie. Dopiero pewnej nocy przyśnił mu się sen. Leżał koło źródółka otoczonego wrzosem, a woda z niego ściekała po jego chorą ciele i leczyła je. Natychmiast po przebudzeniu przypomniał sobie złowionego jelenia, który został uleczony wodą ze źródółka i wraz z rodziną przygotował się, by udać się w drogę. Właśnie podczas snu dostał wskazówkę, jak wyleczyć straszliwą chorobę.



21.

głęboką wdzięczność, kazał uratowany leśniczy zbudować w tym miejscu kamienny słup z obrazkiem Chrystusa, z pięcioma ranami po gwoździach w jego ciele.

Wiadomość o cudownym wyleczeniu szybko rozeszła się i wkrótce zaczęli przybywać tu chorzy z bliskiej okolicy i dalszych stron. Wszyscy szukali w źródółku ulgi w swoim cierpieniu. Wielu zostało uleczonych. Później zbudowano nad źródółkiem kapliczkę, zamienioną w 1927 roku w drewniany kościółek. W roku 1946 w kościółek uderzył piorun i ten spalił się.

Oprac. Sotiris Joaniđis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Złate Hory

Złate Hory nazywano do 1948 roku z niemiecka Zuckmantel. Ponieważ słowo to oznacza „wyszarpnąć lub ukraść płaszcz”, w XVII wieku biskup wrocławski zaproponował nową nazwę, reprezentującą miasto słynące z wydobycia złota. Niestety nowa nazwa Edelstadt nie funkcjonowała długo, Zuckmantel, choć obraźliwa, przetrwała. Dopiero Czesi w 1948 roku zmienili ją na Złate Hory.

Oprac. Sotiris Joaniđis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Skąd wzięła się nazwa Zuckmantel

W czasach, które nastąpiły po panowaniu olbrzymów, stało się Edelstadt bogatym miastem. Kopalnie złota w jego pobliżu sownie wynagradzały ciężki trud nie tylko górników, ale całej okolicy. Zamek górujący nad miastem miał dobrego pana, który sprawował nad nim opiekę i ochraniał je przed nieprzyjaciółmi.

W owych czasach rozkwitu wydawało się, że miasto Edelstadt jest tak samo wieczne jak Rzym i tak piękne jak Neapol. Wtedy chyba nawet pory roku nie zmieniały się tak często i panowało tylko lato. Podczas niedzielnych spacerów na promenadzie, na rynku przeważały piękne kobiety i przystojni mężczyźni. Wszyscy się wzajemnie rozumieć, byli szczęśliwi i bogaci.

Miasto było szlachetne zasługą ludzi i tak też się nazywało. Niestety nie miało tak być zawsze.

Mówi się, że pech nie chodzi po górach, lecz do Złatych Hor, dawnego Edelsztadt, przyszedł. Wtargnął jak burza. Nagle i nieoczekiwanie w krótkim czasie zniszczył wszystko, co pracownicy obywatele miasta przez długie lata budowali. W mieście zapanowała dżuma z cholerą i szalała tu przez kilka lat. Ludzie umierali setkami, ulice tonęły w oparach siarkowego dymu z ognia przeciwko cholercze, a bezlitosna śmierć kosiła mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszyscy mieszkańcy, o ile nie uciekli do odległych krajów, wymarli.

Przez długie lata miasto było puste i jego ulic nie odwiedzały nawet dzikie zwierzęta, nawet ptaki nad nim nie przelatywały, żeby nie zarazić się cholerą.

Nie ma się co dziwić, że ludzie po tak długim czasie zapomnieli, że kiedyś istniało tu bogate miasto, a tym bardziej nie pamiętali jego nazwy. Było to miejsce, w którym panowała śmierć i do którego przez kilkadziesiąt lat nikt nie odważył się wejść, żeby nie zarazić się dżumą lub cholerą. Miasto wymarło. W czasach rozkwitu zbudowano w nim wspaniałą, bogato zdobioną katedrę, którą przyjeżdżali podziwiać pielgrzymi z Opawy, Olomouca, a nawet z Niemiec i Polski. Chcieli zobaczyć to чудо na własne oczy. Ale od czasu, gdy dżuma zgładziła mieszkańców, w katedrze nie stanęła ludzka noga. Przez długie lata był opuszczony i niszczał. Do czasu. Może z braku wiadomości o tutejszych wydarzeniach, może przez pomyłkę do miasta przybył podróżny. Zapadła już noc i miejscowość cała pogrążona była w ciemnościach, więc nawet nie zauważył, że spaceruje po martwym mieście. Nie było słychać szczekania psa, nie było widać ani jednego światełka. Tylko jakaś sowa z dachu domu na rynku huknęła swoje huuu... huuu..., jakby zapraszała swoją towarzyszkę śmierć na ucztę.

Podróżny poczuł dziwny lęk.

Koło północy przeszedł przez ciemny rynek i dotarł aż pod katedrę. Ten był oświetlony jak na pasterkę. Nareszcie ludzie, ucieszył się i poczucie lęku zelzało. Radośnie otworzył ciężkie kościelne wrota, wszedł i rzeczywiście... Nad modlitewnikami sie-



22.

działo w ławkach mnóstwo postaci w długich czarnych płaszczach, które były zajęte mamrotaniem dziwnych, niezrozumiałych modlitw. Podeszedł bliżej ławek, bo chciał się z nimi po cichu przywitać, kiedy nagle zauważył, że są sztywni i bladzi jak biały marmur. Dopiero wtedy odkrył, że nie są to ludzie, ale trupy. Spojrzał jeszcze w kierunku ołtarza i zobaczył tam zamiast proboszcza białą Śmierć, która odprawiała całe nabożeństwo. Obróciła puste oczodoły na nieproszonego gościa i klapnęła białą szczęką, jakby go chciała połknąć. Podróżnemu pot wystąpił na czoło, włosy stanęły dęba i kolana zrobiły się jak z waty. Czuł jak robi mu się słabo, ale jeszcze się opamiętał, odwrócił i oparł o ciężkie wrota, żeby uciec z tego koszmarnego kościoła. Kiedy wreszcie zrobił pierwszy krok, by wyjść na zewnątrz, usłyszał za sobą Śmierć, która pustym, martwym głosem wymawia ostatnie słowo modlitwy – amen. W tym samym czasie wstały z ławek kościelnych wszystkie kościotrupy i zaczęły go gonić. Przerazające tupanie nóg i chrzęszczenie kości przerażyły go jeszcze bardziej. Ze wszystkich sił rzucił się do ucieczki, gdy go nagle jeden ze szkieletów złapał za płaszcz i zerwał mu go z pleców. Nie wiele brakowało i złapałby go za ręce. Żywy nie wyszedłby z opresji. Uratowała go tylko szalona ucieczka. Biegł i biegł, chociaż już dawno nikt go nie śledził i nie słyszał odgłosów



pogoni. Był już daleko za miastem, znalazł więc sobie spokojne miejsce na skraju lasu i nad ranem zmęczony zasnął.

Gdy się obudził, słońce już stało wysoko na niebie. Wstał i przeciągnął się. – Dobrze mi się spało – pomyślał sobie – tylko ten straszliwy sen o kościotrupach. Brrr..., otrząsnął się, gdy pomyślał, że mogło się to wydarzyć naprawdę. Jeszcze

23. raz się przeciągnął i chciał wyruszyć w dalszą podróż. Sięgnął po swój długi płaszcz, a płaszcz nie ma. Rozejrzał się wokół siebie, ale gdzie by nie szukał, płaszcz nie znalazł. Dopiero teraz sobie powoli uświadamiał, że straszliwa nocna przygoda nie musiała być tylko snem. Przecież jeszcze bolą go nogi, gdy tak usilnie uciekał przed trupami. Ciągle jednak nie chciał uwierzyć, że żyje, wydawało mu się to niemożliwe i nieprawdopodobne. Po dłuższym wahaniu zdecydował się iść znowu do miasta, by przekonać się o tym na miejscu. Gdy dotarł pod kościół, przed wrotami znalazł płaszcz rozszarpany na tysiąc kawałków i poczuł dreszcze na całym ciele. Dopiero teraz uświadomił sobie, jakie niebezpieczeństwo groziło mu w nocy. Miał szczęście, że nie wpadł w szpony kościotrupów. Płaszcz przed bramą kościoła był dowodem na to, że z kościoła nie wyszedłby żywy.

Szybko opuścił więc wymarłe miasto i dopóki żył, opowiadał każdemu, jak mu koscoty ukradły płaszcz i rozszarpały go na małe kawałki.

Od tej pory nazwano miasto według tej legendy – „Zuckmantel”, co w tłumaczeniu oznacza „wyszarpnąć, ukraść płaszcz”.

Zuckmantel znaczy również „kradzież płaszcz”. Wiąże się z tym następująca opowieść.

Miasto z zapomnianą nazwą odżywało po ciężkiej epidemii dżumy bardzo powoli, ludzie przychodzili tu zakładać nowe gospodarstwa i ponownie wydobywać rudę złota w pobliskich kopalniach. Nie miało jednak dotąd nazwy.

Ponoć pewnego razu wojewoda śląski Jarosław wyruszył w podróż inspekcyjną po swoich dobrach. Gdy jechał z Heřmanovického Sedla i zbliżył się do nieznanego domków, napadli na niego miejscowi i zabrali mu nie tylko pieniądze i karete, ale rozebrali go do samej bielizny i ukradli mu płaszcz. Nic innego mu jednak nie zrobili i puścili go wolno. Niech idzie, gdzie chce – oczywiście pieszo.

Płaszcz był bardzo drogi, szły go dziesięciu najlepszych wiedeńskich krawców. Był stebnowany srebrnymi i złotymi nićmi, zdobiony drogocennymi holenderskimi koronkami. Na terenie ówczesnego Śląska nie miał chyba nikt kosztowniejszego płaszcza.

Gdy tylko lekko ubrany wojewoda, prawie nagi, dotarł do pałacu, opowiedział wszystko, co mu się w tym dzikim kraju przytrafiło. Książęta, a zwłaszcza księżne, bawili się przy tym niesamowicie i od tego czasu miejsce nazywano Zuckmantel. Ludzie przyzwyczaili się do tej nazwy i miasto długi czas ją nosiło.

Inne źródło twierdzi, że poprzednie opowiadanie nie jest całkiem prawdziwe, a nazwa powstała dokładnie tak, jak opowiada następna legenda.

Pierwszymi nowymi osadnikami miasta, które nie posiadało jeszcze nazwy, byli zbójce. W pozostałych wioskach w okolicy (wtedy nie było jeszcze kin, radia i telewizyjny przekątnik w Bišovcu miał awarię) zakładano różne stowarzyszenia, żeby ludzie mieli możliwość samorealizacji.

Tylko w naszym bezimiennym mieście rozbójnicy nie byli zainteresowani żadną spółką strażaków, działkowiczów czy pomocników milicji obywatelskiej. Założyli tylko jedną spółkę – Rozbójnik Sp. z o.o. o bardzo wszechstronnej działalności. Sprytni zbójce napadali i okradali kupców na drogach i bogaczy w miastach. Trzeba przyznać, że nie byli zbyt okrutni. Swoim ofiarom zabierali pieniądze i kosztowności wraz z całym towarem, a potem puszczali wolno – całych i zdrowych. Kradli wszystko, co im wpadło w ręce, lecz przede wszystkim specjalizowali się w pięknych płaszczach. Płaszcz w tym mieście również oświadczył o tym, który z rozbójników był zdolniejszy. W rezultacie każdy zbój posiadał kilka płaszczy, jeden ładniejszy od drugiego, ale nie tylko od parady.



24.

W mieście bowiem zapanował obyczaj, że rozbójnik z najładniejszym płaszczem był wybierany na prezesa spółki i jednocześnie stawał się burmistrzem, dopóki nie pojawił się potężniejszy zbój z jeszcze kosztowniejszym płaszczem.

Nie były to ciekawe czasy, już wtedy każdy złodziej ubiegał się o fotel burmistrza. Działalność spółki rozrosła się na całą okolicę do tego stopnia, że wszyscy handlarze omijali ten teren z daleka i dali mu nazwę Zuckmantel.

Po dzień dzisiejszy nazwa ta może nam przypominać, że już ówcześni mieszkańcy Złatych Hor wiedzieli, że jak cię widzą, tak cię piszą, i że mając ładny płaszcz, nawet kradziony, można zostać dobrym burmistrzem. Jednak czas i nowe prawa położyły (a może położy) kres takiej spółce, po której pozostała nam tylko ta dziwna nazwa miasta – Zuckmantel.

Legenda o początkach kopalnictwa w Złatých Horách

Z jednego jaru pod Příčnou Horą, z wyrazistymi pozostałościami starych sztolni, widać na stromym zboczu skałę, którą ktoś mógłby uważać za ruinę wieży zamkowej. Dokładnie tak wygląda. Chodzi o ruiny zamku Edelštejn. O skale tej opowiada się kilka historyjek, między innymi następująca.

Dawno temu, gdy jeszcze nie istniało ani miasto Zlaté Hory, ani zamek Edelštejn, pewien pobożny śląski książę zorganizował w okolicznych lasach wielkie polowanie. W jego orszaku był parobek, który swojego pana nienawidził. i miał ku temu ważne powody. Przez okrucieństwo władcy stracił kochankę i skromny majątek, a na dodatek musiał mu służyć. Nienawidził go za to tak mocno, że nie tylko życzył mu śmierci, ale ją również przygotowywał. Gdy parobek jechał z pozostałymi myśliwymi i rozmyślał o tym, jak zamordować księcia, ujrzał koło siebie pięknie ubranego jeźdźca, którego wcześniej wśród książęcych gości nie zauważył. Nieznajomy schylił się do niego, nawet się nie przywitał i od razu wyszeptał:



25.

– Wiem o czym myślisz, chcesz zabić swojego pana! – Parobek się przeraził i w strachu wyjąkał:

– JJak tyy tto możesz wiedzieć? – czym zdradził swoje ukryte zamiary. Ale obcy go uspokoił:

– Nie martw się, nie jesteś sam. Nie tylko ty pragniesz śmierci tego okrutnika. Będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli go zabijesz, chętnie ci w tym pomogę. Nawet cię wynagrodzę.

– Podczas obiadu, gdy orszak myśliwych siedział w cienistym jarze nad brzegiem rzeczki, wywabił nieznajomy parobka w krzaki i polecił mu, żeby z tego ukrytego miejsca wysłał do księcia śmiertelną strzałę. Parobek nie był zachwycony tym pomysłem i sprzeciwił się, lecz nieznajomy zaczął mu grozić.

– Popatrz, z mojej ręki ten człowiek zginąć nie może, ale jeżeli teraz nie strzelisz zdradzę księciu twoje zamiary. Co z tobą będzie dalej wie już tylko diabeł.

Parobek zadrżał, ponieważ wiedział, z jaką furią jego pan by się na nim zemścił. Nie pozostało mu więc nic innego. Podniósł łuk, wycelował strzałę, a nieznajomy rzekł:

– Spokojnie strzelaj. Jak trafisz, możesz wyjawic trzy życzenia. Zostaną natychmiast spełnione.

W tej chwili parobek zrozumiał, z kim ma do czynienia i w straszliwej obawie o swoją duszę chciał porzucić broń i uciec, ale cięciwa już zabręczała i książę padł trupem twarzą zwróconą do rzeczki. Nastął chaos. Parobek i nieznajomy wykorzystali zamieszanie i wmieszali się w orszak udając, że szukają sprawcy. W końcu zwłoki księcia położyli na wóz, który odjechał z powrotem do książęcej siedziby. Obaj sprawcy zostali w tyle za pozostałymi.

– Jakie są twoje życzenia? Mów – rzekł obcy.

Parobek długo się nie namyślał. Skoro dusza i tak zaprzędana i potępiona na wieki, to niech chociaż na ziemi mam dobrze, pomyślał i powiedział:

– Życzę sobie umocnionego zamku, nieśmiertelności oraz góry złota i srebra.

– Niech się stanie – zgodził się nieznajomy i poprosił parobka, żeby usiadł za nim na koniu. Ledwo usiadł za nieznajomym, zerwała się wichura i przeniosła ich pod jakiś obwarowany zamek.

– Oto zamek, o który prosiłeś. Nazywa się Edelštejn. Masz tam również służących i wszystko o czym pomyślisz.

– A gdzie złoto i srebro? – spytał niecierpliwie parobek.

– Jest tutaj, ale z ziemi musisz go wydobyć sam – zdecydował nieznajomy i podał mu czarną metalową laseczkę, która miała czarodziejską moc.

– Ten pręt musisz mieć zawsze przy sobie i w miejscu, w którym będzie w twojej ręce drzeć, każ kopać. Zobaczysz cuda. Lecz pamiętaj o jednym! Nigdy już nie wolno ci wznosić modłów ku chwale Bożej. Inaczej z całym bogactwem i z tobą koniec. Ledwo obcy skończył, zniknął.

Od tego czasu mieszkał parobek na Edelštejnie jako wielki pan. Z czarodziejskim prętem chodził po tutejszych górach, a gdy w jego rękach zadrżał, wykopał zwykle wielką grudę złota lub srebra. Wkrótce otworzył kopalnie i z wnętrza ziemi wydobywał ogromne skarby. Pan zamku, były parobek, cieszył się, że dopomoże swojemu krajowi wzbogacić się i sam zdobędzie poważanie u ludzi. I rzeczywiście, cieszył się z tego bardzo długo. Również jego życzenie, żeby nie umarł, jak pozostali ludzie, zostało spełnione. Żył bardzo długo i dlatego zauważył, że bogactwo ludziom szczęścia nie dało, wręcz przeciwnie. Więcej było nienawiści i gniewu niż wcześniej, więcej skąpstwa i zawiści, które niszczyły wesołość i radość życia.

Chociaż niczego mu nie brakowało i diabelska różdżka dawała mu wszystko, o czym pomyślał, poczuł się nagle, po ponad stu latach życia, syty bogactwa. Chociaż ludzie spoglądali na niego z podziwem i szacunkiem nie miał już kolegów ani przyjaciół, ani dzieci i życie mu zbrzydło. W tym trudnym momencie przypomniał sobie o przestrodze, żeby nigdy nie otworzył ust do modlitwy, inaczej straci życie. Chciał umrzeć. Odesłał wszystkich ludzi z zamku precz, zamknął się w komnacie, uklęknął i zaczął głośno odmawiać „Ojcze nasz”.

Już po pierwszym słowie góra zadrżała, usłyszał ogromny huk, mury popękały, ziemia się podniosła i pochłonęła cały zamek. Z wielkiej budowli zostało tylko kilka smutnych ruin, które stały się domostwem sów.

Wkrótce po śmierci starca o kopalniach zapomniano, ponieważ nie było nikogo, kto posiadałby odpowiednią czarodziejską różdżkę. W górach jest jednak nadal mnóstwo niewydobytych skarbów.

Oprac. Sotiris Joannidis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Ondřejovice

Miejscowy zamek i cmentarz pojawiają się w legendzie „O straszidło w ondrzejowickim zamku”. Dawni mieszkańcy opowiadają ją chętnie dawnym językiem, językiem czasów, w których historia ta się wydarzyła.

W ondrzejowickim zamku zmarł (według historycznych źródeł 10 grudnia 1763 r.) kawaler, pan Lazar Michał z Wimmersberga. Właściwie powiesił się tak gwałtownie

(niektórzy opowiadają, że się zastrzelił), że aż mu głowa odpadła. Chociaż samobójców nie wolno chować na cmentarzu, jego córka, oczywiście za duże pieniądze, taki pochówek dla niego załatwiła. Ale ani przekupnemu proboszczowi, ani jej nie wyszło to na zdrowie.

Kiedy jeszcze żył, był jej ojciec człowiekiem okrutnym i złym. W tych czasach mieszkańcy wsi musieli chodzić odrabiać pańszczyznę, szlachcic pilnował ich wykonujących ciężką pracę, zaganiał poddanych do roboty, znęcał się nad nimi i potrafił nawet pobić na śmierć. Nie daj Bóg, gdy miał ze sobą strzelbę, nieraz strzelał do ludzi.

Gdy tak haniebnie umarł, wszyscy poddani poczuli ulgę. Tylko jego córka krótko po pogrzebie ojca lamentowała i płakała: – Och mój ojciec jest zgubiony na wieki. Nawet w grobie nie zaznał spokoju i jego duch włóczy się w nocy po zamku. Było to prawdą. Jego grzesznej duszy nie chciał ani Pan Bóg na cmentarzu, ani Lucyfer w piekle. Ten drugi zabrał tylko jego głowę i kazał ją smażyć w piekielnym kotle. Bezgłowe ciało Lazara w postaci ducha wyrzucił zza bramy piekielne, by w świecie szukał sobie spokoju, gdziekolwiek chce. I gdzie indziej mógłby być właściciel zamku straszyc, niż w Ondřejovicach. Kilka dni po pogrzebie zaczęła się na zamku pojawiać biała postać bez głowy. Przechodziła przez mury, wrzeszczała i jęczała, jak kiedyś na chłopów pańszczyźnianych. I tak straszyla do samego rana. Ledwo wychodziły pierwsze promyki światła dziennego, znikała. Ludzie na zamku wkrótce zorientowali się, że straszdyło nie znosi nawet najmniejszego światła, i dlatego w nocy zapalali świece w każdym pokoju. Tam, gdzie świeciło się światło był

spokój, bezgłowe ciało straszyla tylko w mroku. A że w każdym pokoju na zamku paliły się przez całą noc świece, straszdyło wyprowadziło się na jakiś czas do mrocznego kościoła.

Ksiądz proboszcz jednak nie był zbyt zadowolony z tego, że mu w nocy w kościele jęczy jakaś mara. Natychmiast też zaprowadził porządek. Upomniął właścicielkę zamku, żeby podjęła niezbędne środki, by duch nie miał wstępu do kościoła.



26.

Właścicielka długo myślała nad tym, jak przepędzić go z kościoła, aż wpadła na pewien pomysł. Korzystając z doświadczeń z zamku stwierdziła, że musi kościół oświetlić. Jednak chodzić w nocy, co jakiś czas, do kościoła i zapalać świece było nie do pomyslenia. Dlatego kazała zrobić ozdobną lampę, powiesiła ją na długim łańcuchu pośrodku kościoła, włąła do niej łoju i zapaliła knot. Lampa świeciła cały czas, dniem i nocą. Swój pomysł uzupełniła tym, że w komórcie na zamkowym strychu nigdy świec nie zapalała. Duch musiał się więc wyprowadzić do mrocznej komory, lecz spokoju w zamku nie było. Wrzask o północy słyhać było nadal i córka już nie wiedziała, jak się tego bezgłowego straszdyła pozbyć. Pewnego razu przed północą wydarzyło się coś dziwnego. Z zamku przemówił silnym głosem duch, tak że usłyszały go całe Ondřejovice i oznajmił: – Jutro rano zginie pan zamku, gdy będzie jako pierwszy wychodził z bramy.

Nowy władca zamku stał właśnie przy oknie i ostrzeżenie usłyszał. Dlatego polecił, żeby o świcie przez bramę najpierw wypuścili osła. I rzeczywiście, stało się, co duch przepowiedział. Gdy osioł wychodził z bramy, nagle skądś z góry spadło młyńskie koło i na miejscu przygniotło zwierzę. Pan zamku nie zginął – przepowiednia du-

cha nie wypełniła się. Możliwe, że nowy pan zamku był rzeczywiście osłem, jak o nim mówiono. W tym przypadku młyński kamień nie pomylił się. Osioł to osioł, kogoś musiał zabić. Od tego czasu straszdyło schowało się w najmroczniejszym kącie komory i bezsilnie skomlało. Córka wykorzystała sytuację i kazała szybko zamurować okna i drzwi komory. Duch się uciszył, jakby go wcale nie było. Być może w nocy dalej jęczał, ale grube mury tłumiły odgłosy. A może uciszył się dlatego, że bezgłowe zwłoki pana Lazara Michała z Wimmersberga wywieziono z cmentarza i pochowano pod kamieniem samobójców na granicach wsi.

Natomiast podczas wyburzania zamku w 1960 roku rozniosła się wieść, że gdy oświetlono komorę na strychu, ludzie usłyszeli straszliwy jęk i zobaczyli dziwną postać biegnącą w kierunku cmentarza. Czegoś tam szukała, ale ponieważ nie znalazła swojego ciała w grobie, pobiegła dalej w stronę Złatych Hor.

Do dzisiaj nieopodal kamienia granicznego numer ČR 154/3 na granicy trzech wsi – Złatých Hor, Ondřejovic i Podlesia w Polsce znajduje się skała o wymiarach 0,9 x 1,2 x 2 m z krzyżem i datą 1586 r. Chodzi o kamień samobójców (Selbmörderstein). Na białym kamiennym bloku do dziś można odczytać łaciński kryptogram AEPS. Czyta się A. EPS i jest to skrót od Andreas Episkopus. Chodzi prawdopodobnie o Andrzeja Jerina, który był w owym roku biskupem wrocławskim. Jednak nauczyciel Otte oraz Rudolf Zuber twierdzą, że wyciosany napis brzmi AEPM i tłumaczą go w przekładzie z łaciny – Na wieczną pamięć przyszłym pokoleniom (Ad eternam posterorum memoriam). Według legendy w tym miejscu, na granicy trzech gmin, dawno temu chowano samobójców. Właśnie tu musiał grabarz z ondrzejowickiego cmentarza przenieść ciało samobójcy, szlachcica Lazara z Wimmersberga, żeby oczyścić zamek, kościół i cmentarz od złego ducha.

Dowodem na to, że nic w owej legendzie nie zostało wymyślone jest fakt, że w kościele w Ondřejovicach do dzisiaj wisi lampa – wiecznie palące się światło (pomysł racjonalizatorski właścicielki zamku Marii z Wimmersberga) – po to, by do kościoła już nigdy nie weszło żadne straszdyło.

Oprac. Sotiris Joanidis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Javorná

W dolinie, blisko wsi Javorná, założonej przez pustelnika, leży kilka stawów. O powstaniu jednego z nich opowiada taka legenda.

Kiedyś, w dawnych czasach żył w Javornej pastuch. Przez długie lata tylko wypasał gminne krowy, ale spotkało go szczęście, znalazł drogi kamień i gdy go sprzedał, został najbogatszym człowiekiem we wsi. Z bogaczami zawsze są kłopoty i nigdy nie wiadomo, co pieniądze zrobią z człowiekiem. Pieniądze ponoć psują charakter i biedny pastuch szybko zapomniał o swym ubogim pochodzeniu. Z bogactwem weszła do jego serca pycha i skąpstwo. Rzadko kiedy dał własnemu psu skórkę od chleba, a obcym ludziom nigdy nic nie podarował. Jeżeli pojawił się u niego jakiś biedak i poprosił o trochę jedzenia, niczego nie wskórał. Przeklinanie sknery słyszała cała wieś, a nierzadko kazał on swoim pacholkom pobić biedaka, albo poszczuć go swoimi ciągle głodnymi psami. Cała wieś znała sknerę i jego dom miał złą sławę.

Pewnego wieczoru przyszedł do Javornej z daleka wędrowny mnich. Trochę zabłądził w lesie i było już późno, więc się ucieszył, że znalazł jakiś dom i nie będzie

musiał spędzić nocy w lesie. Nie wiedział nic o tym domu ani o jego okrutnym właścicielu. Wszedł i poprosił o chleb i nocleg. Na szczęście gospodarza nie było w domu i gospodyni ulitowała się nad nim. Dała mu suchy chleb i położyła go na twarde łóżko. Skromny mnich najadł się i szybko zasnął. O północy gospodarz wrócił i kiedy dowiedział się o mnichu, wściekł się. Zebrał pachołków i razem z nimi wtargnął do komórki. Obudzili mnicha, pobili go, znieważyli jego wiarę i na koniec wypędzili go w ciemną noc. Za ledwie ten wyszedł na podwórko, rzuciły się na niego psy. Ledwo uszedł z życiem. Potem uciekł daleko od tego koszmarnego domu, a gdy już był w bezpiecznym miejscu w kapliczce św. Anny pomodlił się i prosił Pana Boga, żeby zesłał na ten dom karę boską. Rozgniewany Bóg wysłuchał go. Zerwała się burza, ziemia się zachwiała, otworzyła się, tak że chciwy chłop wraz z domem zapadł się do piekła. W miejscu, gdzie stał dom pojawiło się potem czarne jezioro.

Jeśli wszystkie jeziora i stawy w Javornej powstały w ten sam sposób, musiało tam być bardzo wielu grzeszników i sknerów. Ja sam nieopodal wsi naliczyłem siedemnaście stawów, jezior i zbiorników wodnych.

Oprac. Sotiris Joaniadis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Horní Údolí

Legenda o Odonie z Olešnice

Z otwarciem pierwszej kopalni złota w Horním Údolí wiąże się następująca legenda.

W zamierzonych czasach, zanim powstało miasto Zlaté Hory, gdy jedyną siedzibą w okolicy był zamek Edelštejn, zbudowany przez olbrzymów – ludożerców na Příčnej Hoře, na jego podzamczu panował tylko strach. Po olbrzymach, którzy nie wiadomo jak zniknęli, przyszedł nowy pan i wraz z nim tak bardzo oczekiwany spokój. Był to rycerz Odon von Erlitz, jeden z najbardziej szlachetnych właścicieli, jakich zamek miał. Pozwolił ludziom na podzamczu, by odbudowali swoje domostwa. Odprowadzał mu podatki, a on ochraniał ich przed rabusiami i obcymi żołnierzami. Lecz ani mieszkańcy, ani rycerz nie posiadali zbyt wiele bogactw, biedne poletka nigdy nie przynosiły obfitych zbiorów. Czasem nie było co jeść, nie mówiąc o płaceniu podatków. Wszyscy potem żalowali, że przeprowadzili się do tak biednej okolicy, ale nic już nie można było zrobić. Niemniej żyli bogobojnie, uczciwie i spokojnie i nikt nie pomyślał, że mogłoby się to zmienić.

Pewnego dnia Odon von Erlitz, pan z Edelštejna, pojechał na konną przejażdżkę po lasach i górskich łąkach. Chciał obejrzeć swoje dobra i ewentualnie złowić jakąś zwierzynę. Było południe, słońce paliło, nawet liść nie drgnął, tylko daleko na niebie przeleciało kilka ptaków. Leśnej zwierzyny wtedy nie było zbyt dużo, więcej było komarów. W bezwietrznym, dusznym powietrzu trzęsawisk, w pobliżu stawów leśnych, komary cięły jak wściekłe, tak że nawet koń się płoszył. Dopiero gdy Odon opuścił bagniste łąki pod Rejvizem i dotarł w cień olbrzymich drzew koło źródeł górnodolińskiego potoku, komary przestały się naprzykrzać. Zadowolony zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa w cieniu lasu. Sam obmył w źródlanej wodzie twarz pokłutą przez komary i oparł się plecami o gruby pień jesionu, chcąc odpocząć. Po krótkiej chwili zasnął. Szum górskiego potoku ukołysał go do snu.

Nagle poruszyły się gałęzie pobliskich krzaków, potem dalsze. Ni stąd ni zowąd, koło potoku pojawił się malutki człowieczek. Ubrany był w ciemnobrązową szatę i miał długą białosrebrną brodę. Na głowie nosił kaptur, pas miał opięty grubym skórzanym rzemykiem. Za kilka chwil pojawił się drugi skrzat. Był taki sam jak pierwszy, ale jego broda była jeszcze bardziej biała i był niższy. Właśnie on wypowiedział ledwo słyszalne słowa:

– Spójrz! Tu śpi człowiek, na pewno jest zmęczony – szepnął i podszedł bliżej.

– Z jego twarzy widać, że jest szlachetny i bogobojny. On będzie naszym człowiekiem, odbierze nasz przekaz z podziemia – przemówił skrzat jeszcze raz do kolegi, wziął kamyczek, który zmienił się w jego dłoni w złoto i cisnął nim w śpiącego rycerza. Z radości, że za pierwszym razem trafił w pierś śpiącego, klasnął łapkami i zaśmiał się srebrzystym głosikiem.

Odon von Erlitz obudził się. Popatrzył przed siebie i koło swoich nóg ujrzał dwa małe skrzaty. Jeden śmiał się, a drugi żywo gestykulował na powitanie.

– Czy to sen, czy jawa? – pomyślał rycerz i wziął do ręki miecz. Szybko jednak opuścił rękę. Poznał, że skrzaty nie zamierzają go skrzywdzić i uśmiechnął się do nich.

Mniejszy krasnoludek powiedział:

– Synu Boży, słuchaj mnie dobrze! Wewnątrz tej góry jest nas wielu, należała do nas i dlatego zwykli śmiertelnicy nie mogli do nas dotrzeć. Do dzisiejszego dnia nawet nas nie mogli zobaczyć, tylko ty miałeś to szczęście. Niestety, my skrzaty już nie możemy w świecie pozostać. Nie wolno nam przebywać nawet w podziemiach, nasz czas się skończył. Dlatego udaliśmy się do ciebie. Wiemy, że masz szlachetne i bogobojne serce, więc chcielibyśmy ci przekazać bogactwa tej góry. Nie zwlekaj i chodź z nami.

Odon von Erlitz wstał i podszedł. Skrzat dotknął miecza rycerza i ten zamienił się w złoto. Rycerz zdziwił się, że stal zmieniła się w złoto.

– Zdziwisz się jeszcze bardziej, jak ci w podziemiach pokażemy wszystkie złote skarby. Żaden śmiertelnik ich nigdy nie widział. Znajdują się w szybie, który nazywamy Stary Hacklberski, powiedział krasnoludek i pomaszerował dalej wąziutkim czystym chodniczkiem. Rycerz poszedł w jego ślady, uważał tylko, żeby go nie nadepnąć. Za chwilę doszli do wielkiego kamienia. Wokół rosło dużo żółtego złocienia i tak ogromne paprocie, że krasnoludek prawie w nich zniknął. Mały człowieczek wyjął z torby spiczasty młotek i trzykrotnie uderzył w głaz. Kamień się powiększył, zniknął w stoku góry i został po nim otwór prowadzący do mrocznych podziemi.

Razem ze skrzatami wszedł do nich również rycerz. Po chwili mrok zaczął się rozjaśniać. Na lewo i na prawo, na dole i na górze błyszczało złoto. Niewyczerpanych zasobów złota rycerz nie mógł przeoczyć.

Skrzat przemówił:

– Te skarby gromadziliśmy tu przez wieki. Nam te bogactwa nie są potrzebne. Chcemy je oddać ludziom dla waszego dobra, ale posłuchaj dobrze, co ci powiem. Złoto musi być wykorzystane dla dobra wszystkich, biednych i bogatych, nędznych i głodnych, inaczej zamieni się w błoto. Więc teraz wiesz, gdzie znajdują się złote skar-



27.

by i wiesz, co z nimi zrobić. Nie zapomnij o naszych radach, inaczej będzie źle. Żadnego skrzata ani krasnoludka już żaden człowiek nie zobaczy, najwyżej w śnie.

Skrzat skończył przemawiać, zapadła ciemność i jakaś ogromna siła wyprowadziła rycerza z jaskini. Gdy rycerz Odon von Erlitz się ocknął, siedział znowu oparty plecami o pień dorodnego jesionu dokładnie tak, jak usiadł przed godziną, żeby odpocząć. Otworzył oczy i zauważył, że niebo w tym czasie zachmurzyło się i zbliżała się burza. Szybko wsiadł na konia i pospieszył do domu. Ledwo koń zrobił parę skoków, w jesion, pod którym spał, uderzył z ogłuszającym hukiem piorun. Drzewo wywróciło się i rozpadło na tysiąc kawałków.

– Całe szczęście, że tam nie zostałem – pomyślał Odon i jeszcze raz spojrzął na drzewo. I co zobaczyć? Pod wywróconymi korzeniami zaświecił złoty kamień.

Dopiero teraz przypomniał sobie Odon, co mu skrzaty obiecały. Chętnie zajrzałyby pod korzenie drzewa od razu, ale w tej słońce, gdy pioruny przecinały niebo, nie było na to czasu. Dookoła wywracały się następne drzewa, aż ziemia drżała. Padało tak, że nie było widać na krok. Całe szczęście, że kawałek drogi stąd była malutka jaskinia, w której Odon zdążył się schować razem z koniem. Rozpalił małe ognisko, przeczekał burzę i dopiero kiedy żywioł się uspokoił, wieczorem, wrócił do domu. Położył się do łóżka, ale nie mógł doczekać świtu.



28.

z zamczu i część złota ofiarować na budowę kaplicy św. Anny, patronki górników. Kaplica stała przez długi czas przy wlocie do pierwszej złotej sztolni w Horním Údolí, którą Odon, za namową skrzatów, nazwał Stary Hackelberski. Zrobił wszystko, co mu doradziły. Za wydobyte złoto kupował biedakom jedzenie, budował kościoły, domy, a mieszkańcy okazywali mu swoją wdzięczność.

Wkrótce górnicy zbudowali domostwa również pod Příčnou Horą. Później wieś nazwali ku pamięci rycerza Erlitza – Olešnie. Cała okolica bogaciła się dalej dzięki pracy i poświęceniu mieszkańców.

Gdy Odon von Erlitz umarł, nowy władca Edelštejna już nie okazywał takiej życzliwości osadzie i jej mieszkańcom. Zaprosił z Saksonii nowych górników, żeby w Starym Hacklberskim szybie wydobywali złoto tylko i wyłącznie dla niego. Jednak mimo że robił, co robił, nigdy się nie wzbogacił, złoto w jego rękach zamieniało się w błoto.

Kopalnie zostały już dawno zamknięte, ale górnicy nigdy o starej sztolni, którą do dziś nazywają Starą Hacklberską, nie zapomnieli. Przez długie lata oddawała im swoje bogactwa, które poprawiały warunki ich życia. Jest to najstarsza i najbogatsza złotodajna sztolnia na Příčnéj Hoře – Querbergu.

Legenda ta chyba nie jest najbardziej dokładnym źródłem informacji o powstaniu górniczej osady Horní i Dolní Údolí, jednak prawdą jest, że właśnie w okolicy Příčnéj Hory znajdują się najstarsze kopalnie w regionie jesionickim, a może nawet w całych Czechach.

Następnego dnia z rana obudził pachołka, zabrali kilof i łopatę i wyruszyli na miejsce, gdzie leżał wywrócony jesion. I rzeczywiście, w miejscu, które wskazały mu skrzaty, było mnóstwo złota. Przez krótki czas wydobyli tyle złota, że rycerz mógł odbudować swój zamek Edelštejn, pomóc głodującym mieszkańcom na pod-

Pradziad na Rejwízie

Od pradawnych czasów górski duch Pradziad troszczył się o swoich górali, więc nie zapominał także o mieszkańcach Rejvíza. Każdy, kto był pracowity lub przynajmniej gorliwy, mógł liczyć na jego pomoc, choćby miał jakąś tam ludzką słabość.

Pewnego razu Pradziad przybył do Rejvíza i wieczorem usiadł, jak zwykły podróżny, w przytulnej knajpce wśród chłopów i drwali. Wcześniej rano wyruszył na obchód w swoje góry, lecz zdążył zrobić zaledwie kilkadziesiąt kroków i tuż przy drodze, blisko bagien, zobaczył spoconego chłopca, który starał się orać swoje małe poletko. Chciał zasiać len, ale mimo jego starań pług ciągnięty przez wychudzoną krowę wbijał się zaledwie kilka centymetrów w ziemię. Pod krową uginały się nogi, taka była słaba, chłop nie wyglądał lepiej. Pod nim też nogi się uginały i kręciło mu się w głowie. Chłop nazywał się Ondrusz i każdego wieczoru chodził do gospody i tam przy kuflu piwa intensywnie rozmyślał, jak to zrobić, żeby się nie narobić a zarobić. Ponieważ tego piwa wypijał sporo, często bolała go głowa i niczego szczególnego nie wymyślił. Biednie też wyglądało jego gospodarstwo – wałaca się chałupa, poletko zaniedbane, dzieci głodne. Filozof i do tego moczymorda, czy może być coś gorszego?

Ondrusz miał dziś od samego rana zły dzień i w chwili, gdy go Pradziad obserwował, kryzys był największy. Rzucił batem o ziemię i wściekły pluł dookoła.

Wtem nadszedł Pradziad i powiedział:

– Dzisiaj chyba nie jesteś w formie, Ondruszu, masz zły czas, a wiesz dlaczego? To z powodu tej knajpy. Przecież wiesz, alkohol to plaga ludzkości.

– A ty kim jesteś, że chcesz mnie pouczać? – zapytał wściekły chłop, schylił się po bat, uniół go nad głowę i szykował się, że przybędę zwymyśla, bo się miesza w nie swoje sprawy. Tego by jeszcze brakowało, żeby mu doradzał byle dziad.

Pradziad wyczuł niebezpieczeństwo i przemienił się w olbrzyma – dla pewności.

Ondrusz cofnął się o krok.

– Ty mnie nie znasz, ale ja ciebie tak. Jesteś Ondrusz i wczoraj siedziałeś bardzo długo w knajpie, postawiłeś mi nawet dzban piwa. Chciałbym się ci za to dzisiaj odwdziaczyć.

Ondrusz przestraszył się, uspokoił, ale w końcu pomyślał sobie, że dziś już go nie gorszego spotkać nie może. Odłożył bat z powrotem na ziemię i dał Pradziadowi przemówić.

– Popatrz – powiedział do niego Duch Gór – Już dawno nie dotrzymałeś terminów siewu lnu, więc teraz daremnie się męczysz. Ale istnieje jeszcze jedna możliwość – cud. Co ty na to? Na polu masz jakiś nawóz, ile przeorałeś, tyle przeorałeś, ale mogę ci poradzić jedno. Niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby teraz, w złej godzinie, siać len. Niestety nie mam teraz czasu, żeby tu z tobą siedzieć i doradzać ci. Muszę iść do Koberštejna do białej damy Heleny, mam tam sprawę do załatwienia, ale jak nade-



jdzie właściwa godzina dla siewu, dam ci z Koberštejna sygnał. Pomacham do ciebie swoim kapeluszem i ty zaczniesz siać. Nie wcześniej, inaczej będziesz ciągle biedny – dokończył olbrzym swoją wypowiedź. Przeobraził się znowu w podróżnego i zniknął jak mgła nad bagnami pod Rejvízem w porannym słońcu.

Ondrusz tylko czekał na takie polecenie. Wyciągnął się jak długi na słońcem wygrzanej miedzy i tylko od czasu do czasu zaspany popatrzył na Koberštejn. Koło południa zobaczył nad wieżą zamkową, jak ktoś macha ogromnym kapeluszem. Zrozumiał, że chodzi o znak Pradziada, nasypał sobie do fartucha lnu i rozrzucał go byle jak wokół siebie na pole.

Spełniło się, co Pradziad powiedział. Już za dwa tygodnie len niebiesko zakwitł, za miesiąc dojrzał i Ondrusz zebrał go tyle, że zaopatrzył zakład Morawolen w Złatých Horach na długie lata. Stał się bogaczem i wszędzie chwalił Pradziada, ale nigdy nikomu nie powiedział, dlaczego.

Opowiedział mi to tylko raz w gospodzie, żebym to mógł dla was spisać.

Jaka płynie stąd nauka? Czasem warto postawić podróżnemu piwo, bo może to kiedyś zaprocentować.

Oprac. Sotiris Joannidis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Rejvízkie mchowe jeziora

Odwiedzający Rejvíz rzadko rezygnują z pięknej wycieczki drewnianym chodnikiem do Velkého Mechového Jezírka. Mozolnie zbudowany chodnik jest dzisiaj jedyną drogą do przepięknego zakątka rezerwatu przyrody, w którym rośnie około dwustu gatunków różnorodnych roślin i traw, pięćdziesiąt gatunków porostów i żyje ponad czterdzieści gatunków owadów pochodzenia polodowcowego.

W bagnach pod Rejvízem znajduje się oprócz Velkého Mechového Jezírka jeszcze jedno. Nazywa się Malé Mechové Jezírko. Jest ono również częścią rezerwatu torfowisko Rejvíz, ale nie ma tam szlaku turystycznego, co oznacza, że wstęp tam jest zabroniony. W odróżnieniu od Velkého Jezírka, które ma stałe brzegi, Male jezírko zarasta torfem, i kiedyś zniknie całkowicie. Według przeprowadzonych badań właśnie Malé Mechové Jezírko otoczone jest grubszą warstwą torfu, przez co jest bardziej oryginalne i z punktu widzenia przyrodników bardziej wartościowe.

Cały teren jezior jest interesujący i romantyczny. Piękno oraz unikalna flora i fauna wraz z wysokogórskim położeniem przyczyniają się do jego unikalności w naszym regionie.

Podczas spaceru nad jezioro, idąc drewnianym chodnikiem wśród karłowatych sosen przez szumiące źródła Černej Opavicy, pojawi się przed odwiedzającymi nieprzyjemnie czarna tafla jeziora. W dzień rzadko śpiewają tu ptaki, a w nocy nie słychać nawet sowy tylko dziwny szum w koronach karłowatych sosen, więc człowiek czuje się w tym romantycznym krajobrazie trochę przygnębiony, zwłaszcza gdyby zabłądził tu po zmroku, zapadając się do kolan w głębokim grzęzawisku.

Opowiadają, że kiedyś dawno temu stało w pobliżu mchowych jezior piękne i bogate miasto, które nazywało się Hunohrad. Dookoła okalały go mocne grube mury, które chroniły mieszkańców i ich bogactwa przed każdym, nawet najsilniejszym wrogiem. Mnóstwo złota wydobytego w tutejszych lasach i górach zapewniało jego miesz-

kańcom dostatnie życie. Nie brakowało tu nawet wystawnych pałaców i willi, lecz ludzie – mieszkańcy tego miasta – byli nic niewarci, źli i wiedli grzeszne życie. Dla bogatych mieszczan nie istniało nic świętego. Prowadzili hulawczy żywot w knajpach i nawet w kościele tańczyli i śpiewali piosenki, które na pewno nie można było nazwać pobożnymi. Mieszkańcy miasta nie mieli respektu nawet przed świętymi mężami, którzy przychodzili ich upominać i nawrócić na prawdziwą wiarę chrześcijańską.

Zadania tego podjęli się dwaj księża z Moraw. W kościele na rynku, w centrum miasta, od rana do wieczora nauczali mieszkańców dziesięciorga Bożych przykazań, zapoznawali ich z naukami Chrystusa, uczyli ich skromności i uczciwości, lecz nic to nie dało. Uparci mieszkańcy już dawno stwierdzili, że życie w grzechu jest wygodniejsze, przestali więc księży słuchać, ale nie tylko... Kilkakrotnie ich pobili i wypędzili z miasta. Misjonarze za każdym razem wracali jednak do miasta, jakby chcieli potwierdzić prawdziwość przysłowia o cierpliwości, która góry przenosi. Jednak w tym grzesznym mieście cierpliwość na nic się zdała. Mogli robić cokolwiek, miejscowi chcieli się z nimi tylko kłócić i przepychać. Pewnego razu, gdy obu księży przywiązano do oślego ogona i w ten sposób wywleczono przez miejską bramę do głębokiego lasu, cierpliwość się skończyła. Uwolnili się z więzów i wyzwolili z błędnego mniemania, że grzeszników z miasta można zmienić wyłącznie słowem Bożym, zdecydowali się więc wypróbować inną metodę. Uklękli razem przy Kazalnicy pod Supią Horą, podnieśli ręce do nieba i poprosili Boga, żeby na grzesznych mieszkańców Hunohradu zesłał swą sprawiedliwość, bo to co oni czynią, toż to dopust Boży.

Prośbę swych podwładnych Pan Bóg wysłuchał natychmiast.

Nagle zapadł zmierzch i było tak ciemno, że nic nie było widać, zaczęło padać i szybko się ochłodziło. Za chwilę deszcz zamienił się w grad wielkości końskich głów, które uderzeniem zabijały wszystko, co żywe. Czarne niebo przesywały tysiące piorunów, odgłosy gromu ogłuszały grzesznych mieszkańców Hunohradu. Ale nawet to nie wystarczyło do przykładowego ukarania grzeszników. Miasto miało zostać starte z powierzchni ziemi, więc Pan Bóg zbudował podziemny tunel, którym sprowadził do miasta straszliwy potop. Na środku rynku otworzyła się ziemia i z otchłani zaczęła wylewać się morską wodą z czarnym bagnem tak szybko, że nikt nie zdążył uciec. Grube miejskie mury nie pozwoliły wodzie odpłynąć i to przyspieszyło zagładę. Po kilka godzin zatopione zostały wszystkie domy wraz z kościołem i na całym terenie powstało jezioro z czarną bagnistą wodą, która miała zmyć grzechy mieszkańców Hunohradu. Bożej sprawiedliwości stało się zadość. Niebo się rozchmurzyło i wyszło słońce. Księża z Kazalnicy mogli wreszcie obejrzeć, jak Pan Bóg spełnił ich prośbę. Widzieli doskonałą robotę. Nie było żywej duszy, żaden grzesznik nie przeżył. Zamiast okazałego miasta zobaczyli pod sobą tylko jezioro z wodą czarną, jak grzechy mieszkańców Hunohradu.

Ponoć po dziś dzień można zobaczyć w Velkym Mechovym Jezírku wieżę hunohradzkiego kościoła. Kto uda się nad jezioro przed południem w dzień, w którym na niebie nie ma jednej chmurki i dobrze popatrzy na środek jeziora, zobaczy pod wodą smukłą wieżę kościoła. Pielgrzym musi być jednak człowiekiem prawym i bez skazy,



30.

żeby mógł zobaczyć odstrasżający przykład. Grzesznicy tej wieży nie widzą, ponieważ im już nic nie pomoże, są już w drodze do piekła i takie upomnienie nie miałoby sensu.

Byłem nad jeziorem kilkakrotnie i za każdym razem widziałem wieżę na własne oczy.

Oprac. Sotiris Joaniadis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Zagłada Hunohradu

Mieszkańcy Hunohradu żyli w wielkim bogactwie i przepychu, ponieważ w pobliskiej rzeźce Opawie znajdowały się bogate złoża złota i drogich kamieni. Wtedy wystarczyło tylko podejść do potoku i kosztowności te pozbierać. Byli poganami, czcili pogańskich bożków i grzeszyli jak prawdziwi poganie.

Pewnego razu przyszedł do miasta pobożny ksiądz, żeby pogańskim mieszkańcom głosić Ewangelię. Nauczał i nauczał, ale mówił jakby do ściany. W końcu poganom znudziły się jego kazania, wciągnęli go do swojej świątyni i tam zamordowali w straszliwych męczarniach. Najbardziej surowym z dręczycieli był mały, garbaty pastuch Gill, który bardzo się wyróżnia w tym bestialskim dręczeniu bezbronno księdza. Gdy ksiądz zmarł, wyrzucili jego zwłoki za miasto, gdzieś na łąkę.

Następnego dnia Gill, jak zwykle, wypędzał bydło na tutejsze pastwiska. Niestety od samego rana był w złym nastroju. Biedny chłop dał mu tylko skromny posiłek, więc z wściekłości walił batem we wszystko, co było w jego zasięgu. Wtem zauważył w trawie zakrwawione zwłoki księdza i obrócił gniew przeciwko nim. Zaczął je okładać batem i kopać. Nagle zwłoki, jakby sterowane przez niewidzialną siłę, podniosły się z ziemi. Szklane oczy zabitego cały czas patrzyły na pastucha. Wyciągnął rękę w stronę miasta. Usta martwego otworzyły się i powiedział: – Przeklinam cię i skazuję na wieczne męki ciebie i to miasto. – Pastuch zdrętwiał ze strachu, nogi miał jak z kamienia. Nie mógł się nawet poruszyć. Nagle zrobiło się ciemno jak o północy. Pioruny przecięły niebo i zahuczał grom, jakby nastał koniec świata. Silne trzęsienie ziemi łamało góry i skały, które zaczęły walić się na Hunohrad. W centrum miasta otworzyła się ziemia i pochłonęła go. Okolice zatopiła woda. Taki był kres Hunohradu oraz jego grzesznych mieszkańców. Żywa dusza nie przeżyła, tylko bezduszny pastuch Gill został skazany na wieczną tułaczkę o głodzie po okolicznych bagnach.

Grzeszny pastuch Gill do dziś błąka się po lasach i grzędawiskach w okolicach Rejvíza. Ciągłe jest głodny i choć chętnie zjadłby nawet suchą skórkę chleba, nigdy jej nie dostanie. Ubrany jest w podarty płaszcz, Pasterską torbę ma zawieszoną przez ramię, a w ręce trzyma bat, którym pogania bydło. Czasami widują go nieliczni turyści. Przez te lata zrozumiał, jaki cenny jest chleb i jaki sens ma uczciwa praca. Teraz ponoć pomaga dobrym ludziom w potrzebie, a złych karze batem. Ludzie opowiadają, że raz pokazał matce z dzieckiem, która zgubiła się na bagnach, drogę do Rejvíza. Czasami w tutejszych lasach można usłyszeć jego nawoływanie. Ho la la lio ... – woła i przypomina ludziom, żeby nie dopuszczali się nieprawości, by nie grzeszyli, nie kradli, żeby...

Po długim czasie powstała w pobliżu grzędawisk nowa wieś Rejwiz. Nowi górale, którzy zasiedlali te okolice, zbudowali sobie na środku wsi ładny kościółek i ku prze-

strodze grzesznikom ustawili drewniany krzyż, który podobno wypłynął z miejsca, gdzie kiedyś stał hunohradzki kościół. Jednak niekiedy brakuje im przestrzegającego głosu z lasu, który usłyszał pastuch Gill w owym fatalnym dniu upadku Hunohradu, żeby im przypominał, że skromność, uczciwa praca oraz zwyczajna przyzwoitość nigdy nie tracą swojej wartości.

Gdy uda wam się raz odwiedzić Rejvíz, pewnie wybieriecie się na spacer do dziewiczych lasów. Gdy usłyszycie oprócz pił leśnych robotników słynne wołanie pasterza: Ho la la lio – nie odpowiadajcie. Gill traktuje to jak drwinę i karze każdego, kto w lesie wrzeszczy. Ukarzał w ten sposób jednego mężczyznę z Jeseníka. Ów lekkomyślny turysta szyderczo pokrzykiwał na skrzata, prowokował go i zapłacił za to. Po trzecim zawołaniu – ho la la lio – pojawił się pastuch Gill w postaci czarnego pudła, ugryzł go w nogę i zniknął. Od tego ugryzienia mężczyzna zachorował na zatrucie krwi i umarł. Pochowany jest na cmentarzu w Jeseníku.

Oprac. Sotiris Joannidis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Skarby mchowych jezior

Razem z miastem Hunohrad i jego grzesznymi mieszkańcami zatopionych zostało mnóstwo skarbów i kosztowności, które bezużytecznie leżą na dnie jezior i czekają, aż ktoś je wyłowi. Całkiem możliwe jest, że część skarbów przyplłynęła z zatopionych w Morzu Północnym statków przez podziemny tunel, który Pan Bóg zbudował, żeby sprowadzić wodę do zagłady miasta. Nawet gdyby to nie było prawdą, wielu ludzi próbowało już podjąć z jeziora choćby część skarbów, lecz nie każdemu się to udało.



31.

Pewnego pięknego letniego dnia pojawił się w Rejvízie rycerz z Włoch i poprosił miejscowego drwala, którego właśnie spotkał, żeby go zaprowadził do mchowego jeziora. Po drodze opowiedział mu, że nawet we Włoszech wiedzą już o wielkich skarbach, które tu leżą pod wodą bez użytku. Oznajmił również drwalowi, że przyszedł właśnie po to, żeby część skarbów zabrać.

Gdy nareszcie dotarli do jeziora, rycerz zsiadł z konia i rzekł do drwala:

– Ja teraz wejdę do jeziora po skarb. Poczekaj tu na mnie i jak będę zmęczony wracał i wychodził z wody, pomożesz mi. W jeziorze będę dosyć długo, jeżeli zobaczysz na jeziorze białą pianę, będzie to oznaczało, że udało mi się dotrzeć do skarbu. Jeżeli pojawi się czerwona piana, to koniec ze mną, wtedy nie zwlekaj i uciekaj stąd, nawet się nie oglądaj. Na zakończenie całej, mam nadzieję, udanej wyprawy, otrzymasz nagrodę. Gdybym nie wyszedł w ciągu godziny, zatrzymaj dla siebie mojego konia, ponieważ mnie już nikt nie zobaczy.

Po tych słowach Włoch wskoczył w złowieszczą czarną toń. Koń spokojnie pał się na łące i drwal niecierpliwie czekał na powrót włoskiego rycerza.

Długo szumiały nad jeziorem tylko sosny, ale nagle pojawiła się na wodzie biała piana i drwal podbiegł do brzegu podać poszukiwaczowi rękę, żeby go, całkowicie wy-

czerpanego, wyciągnąć na brzeg. Potem pomógł Włochowi dosiąść konia, a obcy, z nim odjechał, rzucił drwalowi sakiewkę, w jakiej nosi się zazwyczaj dukaty.

Drwal otworzył sakwę, żeby obejrzeć nagrodę, a ku swojemu zaskoczeniu nie znalazł w woreczku niczego, co przypominałoby dukaty. Były tam tylko jakieś dziwne kulki, bardzo podobne do jasnego grochu i miały dokładnie taki sam rozmiar. Gniewnie wyrzucił więc sakiewkę w krzaki i w niezbyt miłych słowach, jak to drwale potrafią, zwymyślał Włocha za tak małą nagrodę. Ale szukaj wiatru w polu. Włocha nie było i drwal sprawiedliwości się nie doczekał.

Za kilka miesięcy odwiedził Rejwiz następny rycerz z Włoch i szukał drwala, który pomagał podczas podejmowania skarbu z jeziora. Odnalazł go, ale zgorzkniały robotnik po doświadczeniach z pierwszym Włochem, do współpracy się nie kwapił. Gdy mu obcokrajowiec obiecał worek złotych monet za sakiewkę z tym dziwnym grochem, nie trzeba było więcej go ponaglać. Po długim szukaniu znalazł wyrzuconą sakiewkę i ku zadowoleniu obojga przeprowadzili wymianę. Potem Włoch odjechał w nieznanym kierunku, może do swojej ojczyzny. Tylko drwal do dzisiaj zastanawia się, co było w tych perlach tak rzadkiego, że Włoch oddał za nie worek złotych monet.

Z innego źródła dowiadujemy się, że w jeziorze jest wielki drogi kamień, który może z głębin podjąć tylko prawdziwie uczciwy człowiek. A ponieważ wielu ludzi uważa samych siebie za uczciwych, sporo ich się tu utopiło.

Po ten drogocenny kamień przyjechał do Rejvíza pewien bogaty człowiek, który też pochodził ze słonecznych Włoch. Włosi sypali się wtedy jak z worka. Po długich poszukiwaniach Rejvíza, który wtedy jeszcze nie był dokładnie zaznaczony na mapach, dotarł do mchowego jeziora i wskoczył do wody. Za chwilę wyciągnął na brzeg drogi kamień, wielki jak ludzka głowa. Skarb chyba jednak nie był przeznaczony dla niego, ponieważ albo zrzędzeniem losu, albo z nieuwagi Włocha, wpadł mu z powrotem do jeziora. Bogacz jeszcze raz zanurzył się w jeziorze. Nie minęła nawet godzina i na wodzie pojawiła się czerwona piana. Niestety mężczyzna zaginął i nikt nigdy już go nie zobaczył.

Do dzisiaj drogocenny kamień znajduje się pod wodą Velkého Mechového Jezírka. Kiedy będę miał ochotę sobie popływać i zabraknie mi pieniędzy, to po ten drogocenny kamień wskoczę. Miejsce to znajduje się blisko mego domu. Na razie jest tam schowany, jak żydowskie pieniądze w Szwajcarii.

Oprac. Sotiris Joannidis, tl. Centrum Języków Obcych „HIT”

Młotek kołodzieja

W poprzednich legendach dowiedzieliśmy się, że mchowe jeziora pod Rejvízem łączy z Morzem Północnym tunel. Jest to ten sam tunel, przez który Pan Bóg sprowadził wodę, która zatopiła Hunohrad. Tunel jest nadal drożny, na wypadek gdyby go Pan Bóg potrzebował w tym samym celu. Z Morza Północnego przyplływają tędy czasami ryby dziwnych kształtów. O tunelu opowiada również następująca legenda.

W Rejvízie mieszkał kołodziej, który wytwarzał dla miejscowej ludności skrzynie, beczki, koła do bryczek i inne niezbędne wyroby z drewna. Miał też syna. Oczywiście wyuczył go kołodziejskiego rzemiosła i potem, według dobrego zwyczaju, wysłał go w świat, żeby nabył doświadczenia, które uczyni go mistrzem. Na drogę dał mu,

oprócz niezbędnych rad, również kołodziejski młot. Nie był to zwykły młot. Stary kołodziej włożył w niego bez wiedzy syna trzy złote monety i gdy dawał go synowi, powiedział:

– Gdy ci synu będzie bardzo źle, uderz młotkiem mocno w kamień, a on ci pomoże.

Oznaczało to, że młot pęknie, wypadną trzy złote monety i syn będzie mógł sobie w razie potrzeby kupić parę niezbędnych rzeczy.

Młody kołodziej wyruszył w świat. Przeszedł przez Polskę, Niemcy i połowę Europy, aż dotarł do Ameryki. W kraju nieograniczonych możliwości zarobił sporo pieniędzy, zdobył wiele doświadczeń i zrobił reklamę złotym czeskim rękom. Po kilku latach zdecydował się na powrót do domu. Wsiadł na statek, przepłynął ocean i kanał La Manche, lecz na Morzu Północnym rozszalała się tak silna burza, że statek, którym płynął, rozbił się. Na morskie dno spadły wszystkie zarobione dolary, a kołodziej musiał się bardzo starać, żeby się uratować. A właściwie, gdyby nie spotkał norweskich rybaków, którzy zabrali go na statek, już nigdy nie wróciłby do Rejvíza. Żałował wprawdzie, że zgubił tyle bogactwa, ale najbardziej smuciła go strata młotka, który dał mu na drogę ojciec i który przyniósł mu w świecie najwięcej szczęścia. W końcu zrozumiał, że lepiej być biednym niż martwym i wyruszył do ojcowskiego domu w Rejvízie.

W tym samym czasie w Rejvízie kilku miejscowych chłopaków poszło nad jezioro, by złowić kilka ryb, które przypływają tam tunelem z morza. Były one duże i miały dziwne kształty.

Przyszli nad jezioro, usiedli na brzegu i zarzucili wędki. Długo nic nie chwyciło, ale w końcu jeden z nich coś złapał. Szybko poderwał wędkę, bo myślał, że to duża ryba. Radośnie nawijał żyłkę, ale co się dzieje? Na haczyku nie było żadnej ryby, ani zwykłej ani egzotycznej. Wyciągnął z wody zwykły kołodziejski młot. Chłopcy próbowali złapać jeszcze coś innego, ale szczęścia nie mieli, więc wyruszyli w drogę powrotną.



32.

Na obrzeżach Rejvíza stoi gospoda, w której chłopcy chcieli się pochwalić tym, co złowili. Weszli do środka, zamówili oranżadę i wyciągnęli na stół młotek, by pochwalić się co złowili. Wśród gości siedział też stary kołodziej, który młotek od razu rozpoznał. Rozmontował go i pokazał wszystkim trzy złote monety na dowód, że młotek jest jego wyrobem. Powodów do radości jednak nie miał. Jeżeli tutaj znaleziono młot, to gdzie jest jego syn? – Czyżby przy opuszczeniu wioski zablądził i utopił się w jeziorze? – pomyślał. Innego wytłumaczenia nie ma. Skąd by się inaczej wziął młotek w jeziorze? Zasmucony ojciec wrócił z gospody i oplakiwał syna jak zmarłego.

Nadeszło lato i z podróży powrócił młody kołodziej. Zapukał w okno ojcowskiego domu. Ojciec otworzył i z taką radością przywitał zaginionego syna, że trudno to opisać. Płakał ze szczęścia, że wrócił cały i zdrowy. Potem siedzieli długo w nocy, tyle mieli sobie do powiedzenia. Gdy młody kołodziej opowiadał, jak rozbił się na morzu i jak zgubił wszystkie zarobione pieniądze, razem z kołodziejskim młotem, ojciec tylko się uśmiechnął. Najważniejsze, że są razem i będą mogli pokonać wszystkie trudności.

Na koniec stary kołodziej wyjął spod ławki zagubiony młot syna i oddał mu go. Miał szczęście, że wpadł mu do wody dokładnie w tym miejscu, gdzie wychodzi tunel do Rejvíza, a ponieważ był ciężki, wpadł aż do mchowego jeziora, gdzie go chłopcy

złowili. Gdy spojrzymy na mapę, zobaczymy, że coś takiego jest w bajkowym świecie całkiem możliwe. Morze Północne jest u góry, Rejvíz na dole, a ciężkie rzeczy spadają z góry w dół, prawda?

Nazajutrz zabrali się ojciec z synem ponownie za robotę i wkrótce stali się bogaci. Jeżeli jeszcze nie umarli, żyją w swojej chałupie w Rejvízie do dzisiaj.

Legenda pokazała nam, jak to jest z istnieniem tuneli w Rejvízie. Być może kiedyś, gdy tunel zostanie odkryty przez biura podróży, zasłynie Rejvíz z podróży łodziami podwodnymi do Morza Północnego i jeszcze dalej, do królestwa bajek i snów.

Oprac. Sotiris Joaniđis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Mnich koło Vrbna pod Prředem

Początki Mnichova

Idąc z Rejvíza przez las i potem jeszcze kawałek, za Drakovem dojdziemy do wsi o nazwie Mnichov blisko Vrbna pod Prředem. Według starej legendy założył ją bardzo dawno temu pobożny mnich.

Zanim został mnichem prowadził z bratem gospodarstwo gdzieś w środkowych Morawach. Pewnego razu, jak to się pomiędzy braćmi zdarza, pokłócili się o jakąś błahostkę, dosłownie do krwi. Przyszły mnich podczas kłótni ugodził brata nożem i w przekonaniu, że go zabił, uciekł przed sprawiedliwością daleko w góry. Długo szukał odpowiedniego miejsca, aż w końcu osiadł pod Koberštejnem, zamkiem rozbójników. Zbudował u jego podnóża małą pustelnię, w której chciał rozpocząć nowe życie pełne wyrzeczeń, by odkupić śmierć brata. Został mnichem – pustelnikiem. W tym czasie zamek już nie służył jako warowna wieża, był zamieszkanym przez rycerzy rozbójników. Na zamku rządził okrutny zbój Waldemar, który napadał na podróżnych i kupców na szlaku handlowym, prowadzącym z austriackich kopalni soli przez Morawy aż do Vrbna, potem przez las wzdłuż Čarnej Opavy, przez Rejvíz, Zlaté Hory Jeseníki Jesioniki do Kłodzka. Napadał nie tylko na kupców w tutejszych gęstych lasach, ale ważył się grabić, atakować i zabijać nawet w dalekim księstwie nyskim. Bogacił się tam kosztem uczciwej pracy prostych i bogatych ludzi. Na krótko przed przybyciem mnicha Waldemar odważył się uprowadzić córkę ostatniego rycerza z Vrbna. Ten, żeby ocalić swoją córkę Helenę, stoczył z Waldemarem pojedynek na śmierć i życie na koberstejńskich łąkach. Podczas owej, ciemnej burzliwej nocy, oświetlanej sporadycznymi błyskawicami, rycerz zginął w walce i Waldemar uprowadził Helenę do swojej zbójckiej siedziby w Koberštejnie. Otoczony gęstymi lasami arcyłotr długo unikał sprawiedliwej kary.

Pobożny mnich szybko dowiedział się o zbójckich wyprawach Waldemara i spędzało mu to sen z powiek. Sam jednak nic nie mógł zrobić. Starannie przemyślał, jak zapobiec niepotrzebnym ofiarom i zbudował na skrzyżowaniu drogi, która biegła w pobliżu zamku, dzwonnice. Przychodził tam co pół godziny, żeby ostrzec kupców o niebezpieczeństwach czyhających na tej drodze. Pomimo środków podjętych przez mnicha znaleźli się kupcy, którzy woleli skrócić sobie drogę do Jeseníka, jadąc właśnie koło Koberštejna przez łąki pod Rejvízem.

Wydarzyło się raz, że Waldemar ze swoją bandą napadł na młodego bogatego chłopa. Zabrał mu dwa wozy wypełnione towarem, zabił pomocników, a chłopa wziął

do niewoli i uwięził na zamek. Ponieważ dzielny chłop podczas walki zabił kilku kompanów Waldemara, rozbójnik chciał się na nim zemścić. Chciał go zrzucić z zamkowych murów w przepaść. W ten sposób postępował z każdym, kto stawiał opór. Tak było i tym razem. Kazał chłopu związać i na to straszne widowisko zaprosił nie tylko swoich kompanów, lecz również córkę rycerza z Urbna, którą trzymał na zamku przemocą i z którą chciał się ożenić.

Córcę rycerza się to nie spodobało. Była dobrze wychowana i brutalność rozbójników raziła ją. Nie mogła na to patrzeć i zaczęła rzewnie płakać.

– Czego ryczysz, głupia – huknął na nią Waldemar – Zabił mi kilku kompanów, więc muszę zabić także jego. Najważniejsze, że mamy jego majątek.

– Za taką cenę nie chcę jego majątku, choćby chodziło o czyste złoto – powiedziała szlochając.

– Więc co z nim zrobimy, przecież nie będziemy go jeszcze za darmo karmić? – zapytał rozbójnik.

– Wrzuć go na razie do wieży – powiedziała, przypuszczała bowiem, że Waldemar ją posłucha. Rzeczywiście spełnił jej prośbę. Chcąc ją sobie zjednać, by przestała sprzeciwiać się ślubowi, wsadził chłopu do celi pod murami. W ten sposób skazał go na powolną śmierć z głodu i pragnienia.

Tyle, że chłop nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają. W celi uwolnił się z więzów i w nocy zaczął pukaniem sprawdzać ściany. Wkrótce odkrył, że jedna z nich wydaje wyższy dźwięk niż pozostałe. Za pomocą kawałków ludzkich kości, których zostało po jego poprzednikach w celi mnóstwo, rozbierał mur kamień po kamieniu, by wydostać się na wolność. Udało mu się to szczęśliwie wykonać po kilku dniach. Całkowicie wyczerpany odkrył za ścianą ciemny korytarz, który prowadził do lasu.

Po długim czasie zobaczył światło dzienne. Nareszcie był wolny. Jednak nie mógł uciekać w dzień, bo strażnicy mogłyby go zauważyć. Musiał poczekać do zmroku. W nocy na pewno będzie mu łatwiej wymknąć się strażom.

Po zmroku gospodarz ostrożnie podszedł do ujęcia korytarza. Było tak ciemno, że nie wiedział, w którym kierunku iść, żeby nie wpaść w ręce rozbójników. Przez chwilę się wahał i rozmyślał. Nagle w cichym lesie usłyszał dziwne dzwonienie: – Dzyń dzyń,... dzyń dzyń... Dochodziło z daleka, lecz było ciągle. Udał się więc w kierunku dźwięku dzwonka. W ciemnościach potykał się o korzenie drzew, pnie i gałęzie, ale tak bardzo pragnął zemścić się na rozbójnikach, że wytrzymał cały ból i znużenie. Jeszcze kilka kroków i stał przed pustelnią mnicha.

Zapukał do drzwi i czekał. I tu niespodzianka. Otworzył mu jego własny brat. Bracia uścisknęli się po tak długim niewidzeniu, a w ich oczach pojawiły się łzy. Do samego rana nie mogli zasnąć. Mieli sobie tyle do powiedzenia. Gospodarz opowiadał o nieszczęściu, które go spotkało na drodze pod Kobrštejnem i o tym, jak wydostał się z zamkowych lochów. Oczywiście wytłumaczyli też sobie okoliczności kłótni, która ich kiedyś rozdzieliła. Kiedy obecny mnich ugodził brata, nóż na szczęście uderzył w medalion i ześlizgnął się, wbijając się w bark. Był ciężko ranny, ale przeżył. Pomiędzy braćmi zapanowała radość, zmaćniona tylko myślą o okrutnym Waldemarze, dlatego jeszcze w nocy zdecydowali, że ukróć ten zbójcecki proceder.

Następnego dnia bracia wezwali do pomocy okolicznych mieszkańców i omówili z nimi następujący plan, dzięki któremu mieli zniszczyć bandę rozbójników z Kobrštejna.

Połowa zgromadzonych prowadzona przez mnicha, będzie udawała, że przewozi blisko zamku dużą ilość złota na krytych wozach. Na wozach jednak nie będzie złota tylko mężczyźni, którzy zbójów zaatakują. Druga połowa, wraz z gospodarzem, ukryje się już w nocy przed atakiem w pobliżu zamku i o umówionej godzinie go podpali. Potem wszyscy razem zaatakują.

I tak też się stało. Walka trwała krótko, zabito wszystkich rozbójników łupieżców. Kiedy ich wódz Waldemar zobaczył, że zamek płonie, przebił sobie pierś mieczem i skoczył tam, gdzie przedtem rzucał swoje ofiary – w przepaść. Jego dusza poleciała prosto do piekła, a jego krew, czarna jak smoła, szybko wsiąkła w ziemię. W tym miejscu pod zamkiem do dzisiaj rosną tylko chwasty.

Przeżyła tylko Helena, córka rycerza z Vrbna. Choć długi czas żyła wśród zbójów, jej serce pozostało uczciwe i czyste. Młody gospodarz, brat mnicha, zakochał się w niej i wkrótce odbyło się duże wesele, na które zaprosili całą okolicę. Od tego czasu został on gospodarz pod kobersztejskim zamkiem. Zbudował sobie dom obok brata i żyli razem w zgodzie i harmonii.

Po klęsce Waldemara z Kobrštejna już żaden zbój nie ważył się zająć zamku, a w okolicy żyło się biednie, lecz uczciwie. Pod Kobrštejnem powstała później wioska, którą założył mnich i dlatego otrzymała nazwę Mnichov.

Oprac. Sotiris Joaniđis, tl. Centrum Języków Obcych „HIT”

Česká Ves

Čertovy Kameny (tu chyba po polsku)



33.

Dwie godziny marszu granią od wieży ciśnień za Rejvízem na północny zachód, za Bleskovcem i Bilymi Kamenami, za wieżą widokową na Zlatym Chlumie leży grupa skał, którą miejscowi nazywają Čertovými Kamenami.

Ludzie mówią, że gdy patrzą na skałę, wydaje im się, że widać zakłętego rycerza, lecz moja fantazja, bardzo bogata zresztą, czegoś takiego nie widzi. Gdy jednak stoję pod skałami i zmruję oczy, wydaje mi się, że mógłby to być ogromny rycerski zamek.

Skały są przepięknie położone z widokiem na północno-zachodnią część Hrubého Jeseníku. Świetnie stąd widać rzeczkę Belą, która ma swoje źródła na północnym stoku Praděda i przepływa przez wioski oraz miasta w dolinie, jak srebrna nić. Płynie przez łąki i ogrody za Jeseníkiem, dalej przez Česká Ves do Mikulovic, gdzie wpada na polskiej równiny i znika na horyzoncie. W Polsce rzeczka wpada do Nysy Kłodzkiej, ta zaś do Odry.

Na zachód od Čertovych Kameni leży, jak na dłoni, miasto Jeseník ze swoim uzdrowi-

skiem położonym na górze Grafenberg. Dalej za miastem znajduje się miejscowość Lipova, nad którą góruje długi grzbiet Šeráka, Keprníka i Červenoj Hory, zakończony majestatycznym Pradědem. Jedna z legend opowiada o tych skałach. Bardzo dawno temu, w czasach gdy diabły wychodziły z piekła na ziemię, wysłano tu diabelskiego ucznia na praktykę. Jednak zamiast uczyć się sztuki wabienia grzesznych dusz do piekła, robił sobie tylko diabelskie żarty. Na przykład, przed podróżnym zamienił kamień na drodze w złoto, a gdy nieszczęśnik chciał to złoto podnieść, zmieniło się ono znowu w kamień. Innym razem zostawił na drodze złotą monetę i gdy ktoś się zbliżał, moneta zaczęła się turlać ze stoku na dół i wielu turystów biegło za monetą, jakby oszaleli.

Potem młody diabeł wypróbował siłę swojego wzroku. Stał na wierzchołku skały i gdziekolwiek by nie spojrzął, zmuszał ziemię, żeby paliła się jak gorąca lawa i nawet skały się topiły. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że dewastował środowisko naturalne, co jest zabronione. Oczywiście o wszystkim dowiedziała się dyrektorka PZSZ (Piekłelnej Zasadniczej Szkoły Zawodowej) i podjęła niezbędne środki. Diabelsko szybko wysłali szkolnego inspektora, wybitnego pedagoga Lucyfera, żeby zrobił z tym natychmiast porządek. Rzeczywiście, Lucyfer przyłapał diabelskiego ucznia in flagranti, jak dewastował środowisko. Arcydiabeł zaczął zionąć siarką i chciał ucznia przykładnie ukarać kijem, lecz nie był w stanie go złapać. Uczeń szybko wyskoczył i rzucił się do ucieczki przed wychowawczym zabiegiem inspektora. Biegł prosto przez pola rozżarzonej lawy, pozostawiając w niej ślady swojego kopyta, które można oglądać do dnia dzisiejszego. Lucyfer musiał sam zgasić ogień i ochłodzić skały, ale w pośpiechu zapomniał pod kamieniami grudy gorącej lawy. Dokładnie w tym miejscu jeszcze dzisiaj bywają gorące skały, zwłaszcza podczas słonecznych letnich dni.



34.

Tak więc nazwa, jaką według legendy kamienie otrzymały, może nam przypominać nieodpowiedzialną młodość lub starego czarta.

Następna legenda opowiada o tym, że Čertove Kamenie otwierają się w Wielki Piątek przed Wielkanocą. Szczęściarz, który tego dnia podejdzie do skały, może wejść do jaskini i zabrać tyle złotych skarbów, ile uniesie. Musi się jednak spieszyć, żeby nie został w środku, gdy wejście do grotty będzie się zamykać, bo inaczej nie ujrzy więcej światła dziennego.

Ponoć kiedyś w Wielki Piątek podeszła do skały matka z dzieckiem na ręku i weszła z nim do otwartej jaskini. Gdy zobaczyła góry błyszczącego złota, odłożyła dziecko, żeby zabrać jak najwięcej skarbów. Wypchała sobie kieszenie ogromnymi diamentami i w rękach wyniosła przed grotę wielki kawał złota. Gdy chciała wrócić po

dziecko, grota była już zamknięta. Zdesperowana biegła dookoła jak szalona i z rozpaczry rwała sobie włosy z głowy. Mimo całego bogactwa, które zdążyła wynieść z groty, stała się nagle najniezszczęśliwszą matką na świecie. Chętnie oddałaby cały skarb z powrotem, gdyby tylko mogła zobaczyć i przytulić swoje niebieskookie, złotowłose dziecko. Niestety, pazerność to zła cecha i ta kobieta oddała się złu.

Tak to bywa na świecie. Od dawien dawna wiadomo, że bogactwo i niezszczęście często chodzą parami, tak jak w tej wielkopiątkowej legendzie.

Oprac. Sotiris Joaniđis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Jawornik

Jawornicki hetman i diabeł

Długie wojny sprowadziły na naszą okolicę dużo cierpienia. Wiele gospodarstw opustoszało, ponieważ większość mieszkańców zostało wypędzonych lub zabitych



35.

przez dzikie hordy bojowników. Również piękne gospodarstwo chłopa Gideona Tymlinka zostało doszczętnie zniszczone. Zabito wszystkich mieszkańców poza dwuletnim synkiem, który nosił takie samo imię jak jego ojciec. Małego chłopczyka przygarnęli obcy ludzie. Mieszkał u nich, lecz od dziecka musiał pracować jako pastuch kóz i owiec. Nic dziwnego, że często marzył o lepszym życiu, jakie pewnie miałby, gdyby nie wojna, która zniszczyła dom jego ojca. Z utęsknieniem spoglądał na zamek na Jąnskym Vrchu i marzył.

Pewnego razu pojawił się przed nim gajowy w zielonym ubraniu. Tymlinek szybko wstał i przywitał nieznanego:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– A pójdiesz ty – leśniczy przeraził się pobożnego powitania i splunął.

Był to diabeł, ale o tym Tymlinek nie wiedział. Później podczas rozmowy pastuch opowiedział diabłu o swoim ciężkim losie i swoich marzeniach.

– Mogę cię zrobić na siedem lat hetmanem na zamku – powiedział diabeł. – Ale musisz mi zaprzedać ciało i duszę.

Tymlinkowi było wszystko jedno, gorzej już być nie mogło, więc diabeł spisał na kawałku pergaminu pakt, który potem pasterz podpisał własną krwią.

– Jutro rano zgłoś się do pracy u zamkowego ogrodnika – powiedział diabeł i dodał.

– Ja już załatwię resztę.

Potem diabeł przebrany za myśliwego, zadowolony, że od księcia piekiel Lucyfera otrzyma nagrodę za ludzką duszę, odszedł, a pasterz zasnął. Obudził się dopiero rano i od razu poszedł do ogrodnika. W ten sposób pasterz został za pomocą niegodziwych diabelskich czarów przyjęty na służbę u wrocławskiego biskupa, który był właścicielem zamku. Wkrótce potem za swe nienaganne zachowanie pozyskał sobie sympatię dostojnego pana i nie trwał długo a biskup mianował go hetmanem na zamku.

Gdy został panem jego charakter zmienił się. Poddanych gnębił wysokimi podatkami i swawolnym życiem starał się zagłuszyć wyrzuty własnego sumienia, ponieważ sprzedał duszę diabłu. Wszystko co robił, robił z diabelskim okrucieństwem. Były co prawda chwile, kiedy chciał się poprawić, ale zawsze, gdy wchodził do kaplicy zamkowej, żeby odbyć pokutę, słyszał z wieży dzwon, rozkołysany niewidzialną ręką: – tym-link, tym-link, który przypominał mu o kresie jego życia, jaki został zapisany w diabelskiej umowie. Więc za każdym razem sobie darował. Wszyscy mieszkańcy Javorníka wkrótce wiedzieli, że dźwięk dzwonu – tym-link, tym-link przypomina ich hetmanowi, jaki będzie koniec jego życia.

Siedem lat minęło jak woda i diabeł wyruszył w drogę po duszę Tymlinka. Późnym wieczorem dotarł na podzamcze i zatrzymał się u kowala. Zapukał w okno i szorstkim głosem zawołał:

– Stary, otwieraj! Podróżny czeka i spieszy się. Musisz podkuć jego konia.

Kowal zrobił, co mu kazano. Kiedy skończył, nieznajomy rzucił mu pod nogi monetę. Stary kowal schylił się, żeby ją podnieść i zauważył, że nieznajomy ma jedną nogę końską. Uświadomił sobie, że stoi przed nim diabeł. Zanim zdążył mu zaproponować, że może podkuć także jego nogę, obcy zniknął. Kowal i jego żona zrozumieli, dokąd diabłu tak spieszno. Długo modlili się o zbawienie duszy hetmana, lecz daremnie.

Diabeł w tym czasie wygodnie siedział na koniu, który kłusem zbliżał do celu. Brama zamku sama się otworzyła, ledwo się do niej zbliżył. Potem zeskoczył z konia i udał się do pokoju hetmana. Hetman siedział na kanapie i popijał wino.

– A więc, panie hetmanie – powiedział szyderczo diabeł – siedem lat minęło i przyszedłem wyrównać rachunki. Wykonałem to, do czego się zobowiązałem, teraz twoja kolej. Uczyni to, do czego ty się zobowiązałeś, podpisując to własną krwią. Chodź ze mną!

Hetman nie chciał i zaczął się z diabłem wyklócać. Nie chciał uwierzyć, że minęło już siedem lat od czasu, gdy podpisał cyrograf. Lecz diabeł pokazał mu pergamin i podszedł do hetmana, żeby go zabrać siłą. Młody hetman stawił mu opór. Wywiązała się ostra walka. Nieszczęśnik zaatakował księcia piekiel z ogromną siłą, lecz ten okazał się silniejszy i hetman szybko się zmęczył. Diabeł w końcu złapał go za nogi, wystawił przez okno i walił jego głową o mur tak długo, dopóki go nie zabił. Zwłoki zarzucił sobie potem na plecy i odjechał na koniu prosto do piekła. W miejscu, gdzie wtedy młody hetman zginął, do dzisiaj widać na murze czerwone plamy, których według legendy nie można ani zmyć, ani zetrzeć.

Jeszcze dziś niektórzy mieszkańcy Javorníka wierzą, że dzwonek, który ponoć na wieży zamkowej umieścił diabeł i który nadal znajduje się w swoim pierwotnym miejscu, przypomina swoim dźwiękiem – tym-link, tym-link – obywatelom miasta, że życie w grzechu nigdy nie popłaca.

Karlová Studánka**Powstanie źródła**

Nie zawsze diabeł potrafił postawić na swoim, o czym opowiada następująca legenda.

W miejscu, gdzie obecnie leży śliczne uzdrowisko Karlová Studánka, stała kiedyś tylko mała brzydka kapliczka pod wezwaniem św. Huberta, patrona myśliwych. Zbudował ją pobożny pustelnik, który mieszkał w pobliżu.

Pustelnikowi przyśnił się pewnego razu dziwny sen. Objawił mu się św. Hubert i obiecał spełnić jedno życzenie. Eremita przypomniał sobie o swoich chorych sąsiadach i poprosił świętego, żeby w pobliżu jego pustelni wytrysło lecznicze źródło. Gdy się następnego dnia rano obudził, niedaleko pustelni zobaczył źródło z czystą wodą. Trzeba było tylko wypróbować jego leczniczą moc. Najpierw przyszedł chory drwal. Pustelnik leczył go wodą ze źródła i uzdrowił go. Później spotkał przed pustelnią ciężko rannego burmistrza Vrbna, którym się zaopiekował. Ten zaś po chwili leczenia cudowną wodą wstał i mógł biegać jak sarna.

Z wdzięczności kazał burmistrz zbudować obok źródła uzdrowisko.

Wkrótce zaczęli przyjeżdżać chorzy z bliska i z daleka, żeby u źródła odnaleźć utracone zdrowie. Dzięki uczciwej postawie pustelnika sława nowego uzdrowiska szerzyła się bardzo szybko. Wiele osób, pogan z pochodzenia, prosiło pustelnika również o chrzest, więc poza uzdrowieniem ciała otrzymali też porcję zdrowia dla duszy. Wśród ludzi powiada się, że uzdrowisko odwiedził także polski król Zygmunt Waza ze swoim orszakiem. Uzdrowisko pomyślnie się rozwijało. Ludzie leczyli tu swoje chore ciała, a po zbudowaniu kapliczki również dusze.



37.

Wtedy diabeł zaczął się bać, że przez działalność pustelnika straci wiele dusz i wymyślił sobie, że zniszczy źródło i uzdrowisko. Najpierw spróbował otworzyć nowe źródło w lesie powyżej pierwszego, żeby go zatopić. Woda jednak odmówiła posłuszeństwa i stworzyła sobie koryto z wodospadem w innym miejscu, gdzie znajdowało się złoto. W ten sposób powstała Bílá Opava. Gdy diabeł zobaczył, że jego próba nie powiodła się, zaczął zastanawiać się dalej. Wziął ogromny głaz, uniósł go w powietrzu i zamierzał rzucić nim w kapliczkę, w której wierni odprawiali właśnie nabożeństwo. Pobożny śpiew było jednak słyhać tak daleko, że nie mógł się zbliżyć do kaplicy. Czekał jeszcze przez chwilę, by skończyło się śpiewanie, ale w końcu tak się zmęczył, że rzucił kamieniem w dół. Kamień z potwornym hukiem spadł na ziemię obok kaplicy, która nie doznała żadnego szwanku. Ludzie powracający z nabożeństwa zobaczyli tylko ogromny głaz, którego wcześniej nie było i uświadomili sobie, jakie groziło im niebezpieczeństwo. Przychodziło tu potem wiele osób, żeby ten cud obejrzeć. Skała znajduje się do dziś na górcie na północ od uzdrowiska.

Oprac. Sotiris Joanidis, tl. Centrum Języków Obcych „HIT”

ulova**Skarb w Kaltštejnie**

Na małym pagórku w Kaltštejnie niedaleko ulovej znajduje się stary, dawno zburzony zamek. Wśród ludzi krąży opowiadanie, że w zamku ukryta jest wielka kadź złota, której pilnuje zaklęta księżniczka. Pewnego razu dwójka młodych ludzi z Kaltštejna postanowiła, że spróbuje skarb odnaleźć. Zabrali ze sobą na drogę korzeń rącznika, żeby móc pokonać złe czary. Gdy dotarli pod zamek i dotknęli rącznikiem drzwi, te natychmiast otworzyły się z głośnym trzaskiem. Niezdecydowanie weszli do środka i ujrzeli od razu wielką kadź, na której siedział brzydki pudel, który gniewnymi oczkami obserwował nieproszonych gości. Gdy zbliżyli się do kadzi, pudel zmienił się w potwornego węża, gniewnie syczącego. Obydwu poszukiwaczy opanował strach, rzucili się do ucieczki i jak najszybciej opuścili to straszliwe miejsce.

Następna legenda opowiada o tym, że podczas Pasji Wielkopiątkowej brama zamku może się otworzyć. Ponoć wystarczy zapukać i zawołać: – Piękna Szpredo, otwórz! Każdy, kto potem wejdzie do środka, może w ciemnym korytarzu zbierać skarby. Potem, po jakimś czasie, zabrzmie trzykrotne z przerwami wołanie: – Raf! Raf! Raf! I biała temu, kto na trzecie zawołanie jeszcze znajduje się w korytarzu. Brama w tym momencie zostanie bowiem zamknięta i nieszczęśnik zgubiony będzie na wieki.

Oprac. Sotiris Joanidis, tl. Centrum Języków Obcych „HIT”

Mikulovice**Mikulowicki dzwon**

Dawno temu stał w Mikulovicach piękny zamek, który należał do starej bezdzietnej wdowy. Ponieważ była samotna, jej serce przywiązało się do małego pieska, którym się opiekowała i rozpieszczała go, jak matka jedyne go syna. Niestety stary piesek zachorował i mimo tej całej opieki zmarł. Śmierć psa starą panią bardzo przygnębiła. Dlatego zdecydowała, że ostatnim dowodem jej miłości do psa będzie wielki dzwon, który ufunduje, by zawisł na kościelnej wieży. Dźwięk dzwonu powinien całej okolicy oznajmiać, że zmarł jej ulubieniec – zwykły piesek.

Jednak miejscowy proboszcz nie chciał się na coś takiego zgodzić, bo według niego był to grzech. Kto kiedykolwiek słyszał, żeby psu oddawać taki honor. Przecież to jest sprzeczne z wolą Boga. Po wielu prośbach wdowy wyraził jednak zgodę i dzwon został wciągnięty na wieżę mikulowickiego kościoła. Proboszcz odmówił wszakże poświęcenia dzwonu i gdy po raz pierwszy pociągnięto za linę, żeby zadzwonić, urwał się i wypadł przez okno w wieży prosto do rzeczki Bělej. Nikt go od tej pory nie zobaczył. Dopiero po długim czasie, gdy o sprawie dawno zapomniano, ujrzął jeden pasterz świń w korycie rzeki wielką bryłę metalu. Gdy ją odkopali, okazało się, że jest to dzwon, który spadł z wieży wskutek grzesznego postępowania szlachcianki z mikulowickiego zamku. Nikomu już do głowy nie przyszło, żeby dzwon ponownie spróbować umieścić na wieży kościoła. Metal odwieźli do Gluchołaz, gdzie został on przetopiony na inny dzwon, który do dzisiaj zwołuje pobożnych mieszkańców na nabożeństwa.

Oprac. Sotiris Joanidis, tl. Centrum Języków Obcych „HIT”

Lipová**Dziewiczy skok**

Nad uzdrowiskiem Lipová znajduje się skała, na którą można wejść tylko z jednej strony, ponieważ pozostałe są zbyt strome. Ludzie nazwali tę skałę Panenský Skok. Dlaczego? O tym opowie następująca legenda.

Pewnego razu wyszła jedna zgrabna wiejska dziewczyna do lasu nakosić trawy. Śledził ją młody myśliwy, który przez długi czas się do niej zalecał. Ponieważ jej serce już należało do innego, nie chciała z myśliwym nawet słowa zamienić. Gdy zauważyła, że jest śledzona przez myśliwego, zaczęła uciekać, lecz młodzieniec był tuż za nią. Zatrwożona dotarła aż na opisaną skałę i gdy za nią zaczął się wspinać również myśliwy, nie pozostało jej nic innego, jak skoczyć w przepaść, jeżeli chciała zachować swoją cnotę. Gdy myśliwy zobaczył, że jego wybranka skoczyła, skoczył za nią. Cudem dziewczynie nie stało się nic, lecz myśliwy przez swoje grzeszne myśli zginął.

Oprac. Sotiris Joannidis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Obří Skály

37.

dzisiaj, pod Šerákem. Potem rzucił rywal. Wziął taki sam głaz i rzucił o wiele, wiele dalej, aż za Praděda. W ten sposób powstały Petrove Kameny. Zwycięstwo sąsiada Amika tak zdenerwowało, że wyciągnął swój miecz i skałę pod Šerákem przeciął na pół.

Jeszcze dzisiaj możemy w Obřích Skálach, nazywanych również Kamenem Amika, zobaczyć miejsce, gdzie miecz przepołuwił głaz.

Oprac. Sotiris Joannidis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”

Domášov**Hostia na krzyżu w Dolním Domášově**

W kościele w Dolním Domášově na bocznym ołtarzu po prawej stronie znajduje się krzyż z gruszkowego drewna. Na odwrotnej stronie krzyża zobaczyć można rzeźbę hostii. O krzyżu i hostii opowiada nam taka oto legenda.

Kiedyś przyjechał do rodzinnej wioski żołnierz na przepustkę. Miejscowi dowcipnisi nagadali mu, że będzie bogaty, jeżeli będzie przy sobie stale nosił święconą hostię. Poszedł więc do komunii, pozwolił, żeby hostia wpadła do modlitewnika, i żeby stać się bogatym, nosił ją cały czas przy sobie. Niestety bogactwo nie nadchodziło, więc stracił cierpliwość. W ciemną noc wyszedł na pole i przeklinając przyszpilił hostię do gruszki. Nagle otoczyło go morze płomieni. Zrobiło się widno, jak w dzień, i zaczął się bać. Cały się trząsał ze strachu, a ponieważ chciał odczynić zbeszczenie hostii, zdjął ją z drzewa i zjadł ją. Nie było to łatwe, bo zrobiła się twarda jak kora drzewa.

Gdy wrócił do domu, ciężko zachorował, poszedł więc do proboszcza, żeby się ze strasznego bluźnierstwa wyświadczyć. Ksiądz powiedział mu, że grzech może odkupić tylko wtedy, gdy da sobie uciąć rękę, którą trzymał hostię, lecz to też nie pomogło. Żołnierz wkrótce zmarł. Na pamiątkę tego wydarzenia z drewna owej gruszki wyrzeźbiono krzyż na bocznym ołtarzu. Być może dusza grzesznika zaznała potem ulgi.

Oprac. Sotiris Joaniadis, tł. Centrum Języków Obcych „HIT”